



# ROZDZIAŁ

**T**rzej bracia pracowali ciężko od chwili, gdy słońce zaczęło zabarwiać leciutkim różem horyzont ponad wzgórzami na wschodzie. Teraz powoli chowało się za górami po stronie zachodniej, więc Owen ap-Jones, najstarszy z trójki, wyprostował się z trudem i oparł na motyce.

– Wystarczy na dzisiaj – powiedział.

Zmęczony, przyjrzał się poletku, na którym wraz z braćmi trudził się przez cały dzień. Ziemia była jałowa, twarda i kamienista, trudna do przekopywania. Zadania nie ułatwiały marne narzędzia, którymi się posługiwali, zrobione z miękkiego, łatwo odkształcającego

się metalu. Owen spojrział na swoją motykę i skrzywił się na widok trzech nowych szczerb na krawędzi i jednego wygięcia. Będzie musiał wieczorem wykłepać ją i wyrównać szczerby, żeby nadawała się do dalszego użytku. Choć pole było nieduże, szacował, że potrzebują jeszcze dwóch dni ciężkiej pracy polegającej na kopaniu bruzd, wybieraniu kamieni i spulchnianiu cienkiej warstwy gleby, zanim będą mogli zasiać fasolę.

Wzruszył ramionami. Życie farmera w Celtii było ciężkie, ponieważ te tereny nadawały się bardziej do wydobywania metali. Jednakże na ich ziemi brakowało złóż rud żelaza czy srebra, więc musieli ją uprawiać, żeby nie umrzeć z głodu.

Kiedy Owen się odezwał, jego młodszy bracia, Gryff i Dai, przerwali pracę.

– Przeklęta ziemia – powiedział z goryczą Gryff i kopnął najbliższy kamień, który potoczył się kawałek dalej. – Spędzamy całe godziny i dni, mocując się z nią, i po co?

Żaden z braci mu nie odpowiedział, więc dokończył:

– Dla fasoli! Fasoli! Kto może żyć samą fasolą?

Dai wzruszył ramionami.

– Cóż, my możemy – odparł.

Gryff był najmłodszym z braci i najczęściej bywał w złym humorze. Owen i Dai nauczyli się akceptować swój los. Wiedzieli, że narzekanie na dolę, jaka im przytrafiła, to marnowanie czasu i energii. Życie było, jakie było, i żadne jęki ani utyskiwania nie mogły tego zmienić. Ich ojciec zmarł stosunkowo młodo, wyczerpany wysiłkiem potrzebnym do uprawiania pola i utrzy-

mywania rodziny. Owen pomyślał, że przynajmniej oni trzej mogli się dzielić pracą.

– Chodźmy – powiedział, kładąc rękę na ramieniu młodszego brata. – Mama już czeka z kolacją.

– Z zupą fasolową – wymamrotał ze złością Gryff, ale na myśl o jedzeniu zaburczało mu w brzuchu. Jedli w południe, kiedy przerwali pracę na pół godziny, by posilić się chlebem z serem i popić go cienkim piwem. Śniadania nie jedli. Farma zapewniała im tylko dwa posiłki dziennie, oba proste i monotonne pod względem smaku. – Zupa fasolowa i chleb z serem – ciągnął, wymieniając niezmiennie pozycje codziennego menu. – Kto może na tym wyżyć? Górnicy dwa razy w tygodniu jedzą mięso, a w pozostałe dni mają kaszę.

– Tak się chwala – odparł Owen. Nie był przekonany, czy górnicy z Poddranyth, ich wsi, nie mijali się z prawdą, gdy opowiadali o jakości swoich posiłków. Poszukiwacze złóż metali byli notorycznymi kłamcami. Mimo to Owen przypuszczał, że prawdopodobnie ich życie było lepsze od życia, jakie prowadzili on i jego bracia. – Za dwa dni będziemy mogli rozpocząć siew – powiedział, próbując zmienić temat.

– Za dwa dni! – wykrzyknął Gryff. – Jeszcze dwa dni karczowania, kopania i spulchniania ziemi. Gdybyśmy mieli osła i pług, zrobilibyśmy to dwa razy szybciej!

– Nie mamy ani jednego, ani drugiego – przypomniał rzeczowo Owen.

Jednakże Gryff nie zamierzał przerywać swojej litanii narzekań.

– David ap-Davis je ma. Mógłby nam je pożyczyć!

David ap-Davis także był farmerem z Poddraryth, ale miał trzy pola położone na lepszych, żyzniejszych terenach niż pojedyncze, kamieniste poletko, na którym pracowali bracia ap-Jones. W rezultacie jego zbiory były większe i mógł sobie pozwolić na sprzedawanie nadwyżek górnikom z tej samej wsi.

– Kazałby nam za to zapłacić – przypomniał ponuro Dai.

Gryff znowu się rozzłościł.

– Owszem, to pewne! Zdarłby z nas skórę! Nie przyszłoby mu do głowy, żeby nam po prostu pomóc.

– Czemu miałyby to robić? – zapytał Owen. – Muł może przepracować określoną liczbę godzin w swoim życiu. Istnieje też spore ryzyko, że kamienista ziemia uszkodziłaby pług. Miałyby całkowite prawo żądać od nas zapłaty.

Gryff wiedział, że to niepodważalny argument, ale flegmatyczna obojętność, z jaką jego bracia akceptowali życie, nie dawała mu spokoju. Spoglądał ze złością na kamienistą ziemię, kiedy wolnym krokiem wracali do wsi z częściowo przygotowanego pola. Mieli do przebycia dwa kilometry, w większości pod górę. Wydłużone cienie kładły się przed nimi, dziwnie pofalowane na nierównym gruncie.

Owen westchnął, zadowolony, że narzekania Gryffa w końcu ustały. Codziennie było tak samo. Brat uskarżał się na ich dołę, aż zaczynał rozumieć, że to niczego nie zmieni. Ich przeznaczeniem było trudzić się na kamienistej ziemi, karczować ją i kopać prymitywnymi narzędziami, co sezon zasiewać na nowo i żyć z tego, co

udało im się wyhodować. Mieli pole i trzy kozy, które dawały dostatecznie dużo mleka, żeby można z niego robić ser i wymienić część na mąkę. Poza tym ich matka trzymała pół tuzina kur, co zapewniało skromną liczbę jajek oraz od czasu do czasu kurczaka do ugotowania lub upieczenia.

Tak wyglądało życie farmera w Poddranyth – niezmienna, monotonna i wyczerpująca praca, stale doskwierający głód, nuda i znużenie.

Nie był to szczególnie radosny żywot, ale dało się wytrzymać. Owen wiedział, że istnieją ludzie w znacznie gorszej sytuacji niż ap-Jonesowie. Sądził, że Gryff w końcu to zrozumie i zaakceptuje.

Wspięli się na szczyt wzgórza. Po jednej stronie wąskiej drogi strome, pokryte łupkami zbocze schodziło na dno doliny. Po drugiej wznosiły się nagie, ponure skały. W odległości mniej więcej kilometra widać było skupisko szarych domów, czyli Poddranyth. Znajdowało się tam dwadzieścia gospodarstw – wszystkie wzniesione z kamienia i podniszczonych desek, ze szczelinami uszczelnionymi wysuszoną gliną. Spadziste dachy zostały pokryte dachówkami z łupków, a z większości krępych kominów wydobywał się dym.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – powiedział Owen z nutą ulgi w głosie. Przynajmniej dom powita ich przyjemnym ciepłem. Wieczorny wiatr sprawiał, że mężczyźni było zimno w ubraniu przesiąkniętym potem po całodziennej pracy. Jeśli kury zniosły dzisiaj kilka jajek więcej, będzie można je wymienić na garniec piwa w małej wiejskiej gospodzie. Nie zdarzało się to zbyt często, ponie-

waż kwoki były żywione tak samo marnie, jak cała rodzina, ale trzeba było mieć nadzieję. Może udałoby się...

Myśli o wygodach czekających w domu przerwało niskie, mrozące krew w żyłach warczenie. Włoski na karku Owena zjeżyły się w pierwotnej reakcji na ten dźwięk. Mężczyzna zatrzymał się i rozejrzał. Jego bracia także przystanęli.

– Co to... – zaczął Gryff, ale Dai szturchnął go łokciem, żeby się uciszył.

Trzej bracia instynktownie zbliżyli się do siebie, ścisnąc mocniej motyki i unosząc je nie jako narzędzia, ale jako prymitywną broń. Stanęli do siebie plecami, żeby rozejrzeć się po okolicy w poszukiwaniu źródła groźnego dźwięku.

Ten rozległ się znowu, głośniejszy i tym razem wyraźniej wyzywający, jakby w odpowiedzi na uniesione motyki. Bracia ponownie poczuli, jak krew zastyga im w żyłach.

– Patrzcie – powiedział Owen i wskazał urwisko wznoszące się nad nimi.

Pięć metrów wyżej znajdowała się wąska półka skalna, na której przycupnęła bestia rodem z koszmarów.

Miała co najmniej trzy metry długości i półtora metra w kłębie. W przyczajonej pozycji, z przednimi łapami dłuższymi od tylnych, wyglądała, jakby była przygarbiona. Z pyska i ogólnego kształtu sylwetki przypominała wilka, ale żaden wilk, jakiego bracia widzieli lub o jakim słyszeli, nie osiągał takich rozmiarów. Potężne barki były naprężone, a gruba kryza na szyi zjeżona, przez co zwierzę wydawało się jeszcze większe.

Pokrywało je gęste, sfilcowane futro, głównie szare, ale z kilkoma czarnymi plamami. Od lewej łopatki przez przednią łapę przebiegała czarna pręga.

Bracia patrzyli, osłupiali ze zgrozy, jak bestia otwiera ogromny pysk, obnażając długie, poźółkłe kły, i znowu wydaje z siebie warczenie, jeszcze głośniejsze i groźniejsze. Jej żółte ślepia rozglądały się za przejściem, któredy mogłaby zeskoczyć na drogę, na której stali nieruchomo ap-Jonesowie.

– Ruszajcie... powoli – powiedział cicho Owen. Nadal w ułatwiającym obronę kręgu cała ich trójka zaczęła powoli odsuwać się od przerażającej istoty. Kiedy tylko się ruszyli, bestia uniosła łeb i ryknęła, jakby rzucała im wyzwanie.

– Stać! – zawołał Dai, więc zamarli bez ruchu. Bestia pochyliła łeb, a ogłuszający ryk przeszedł w niski, niosący trwogę pomruk. Znowu rozejrzała się po urwisku, szukając drogi w dół.

Zrobiła krok, znajdując oparcie na skale. Potem jeszcze jeden.

Trzej farmerzy znowu się przesunęli, żeby się od niej oddalić. Gdy się poruszyli, zwierzę uniosło łeb i ponownie obnażyło potężne kły. Ostrzegawcze warknięcie znów sparaliżowało braci. Bestia zeszła jeszcze dwa kroki; jej łapy o grubych pazurach wyszukiwały punkty podparcia na stromej skale, która wydawała się całkowicie gładka.

– Co to jest? – wyszeptał Gryff głosem ochryłym z przerażenia.

– Wilk olbrzymi – odparł Owen, także przyciszonym tonem.

Wilki olbrzymie były bestiami z mitów i baśni, żyjącymi dawno temu. Jako mały chłopiec Owen słyszał opowieści snute szeptem przy ognisku, mówiące o tych potężnych, bezlitosnych zabójcach. Ale gdy dorósł, uwierzył, że te historie to tylko opowiastki – zwykłe baśnie i mity. Wilki olbrzymie nie istniały. A jeśli kiedykolwiek istniały, zniknęły z powierzchni ziemi wiele wieków temu.

Teraz jednak razem z braćmi spotkali taką bestię, która zamierzała na nich zapolować.

Kolana zaczęły się pod Owenem uginać, kiedy drapieznik zszedł jeszcze kawałek po zboczu. W końcu zwierzę skoczyło z wysokości dwóch metrów i wylądowało skulone na ścieżce za nimi. Lodowate przerażenie ścisnęło serce Owena. Bestia zrobiła krok w ich stronę. Była teraz oddalona o zaledwie dziesięć metrów i wpatrywała się w nich ślepiami lśniącego nienawiści. Grube wargi uniosły się, obnażając pożółkłe kły, z których kapłała na ziemię ślina. Zwierzę zaczęło się zbliżać do braci z opuszczonym łbem, miotając złowieszczą ogonem na boki.

Owen poczuł, że jego pęcherz próbuje się rozluźnić ze strachu, więc starał się z tym walczyć. Wiedział, że jeśli okaże bezgraniczne przerażenie, będzie po nim. Wykrzywiona motyka, którą ścisnął w rękach, wydawała się kompletnie nieskuteczna jako broń, ale mimo to uniósł ją, kierując w stronę straszliwej bestii, która powoli, nieubłagane podkradała się coraz bliżej. Wyczuwał, że lada moment...

– W nogi! – wrzasnął Gryff, któremu w końcu puściły nerwy. Jednocześnie odwrócił się i rzucił biegiem w stronę Poddranyth. Ułamek sekundy później Dai po-



szedł w jego ślady. Uciekali, jakby ścigał ich sam diabeł... I rzeczywiście, to powiedzenie dobrze oddawało ich sytuację.

Owen przez sekundę stał jeszcze naprzeciwko bestii, która rozjuszona gwałtownym poruszeniem pozostałej dwójki uniosła łeb i zawyla z wściekłością. W tym momencie Owen także się odwrócił i pobiegł za braćmi.

Był jednak starszy od nich i miał zeszywniałe stawy, a do tego obolałe mięśnie, zmęczone po całym dniu ciężkiej pracy w polu. Słyszał za sobą uderzenia łap straszliwej istoty, która rzuciła się w pogoń. Jej kroki były coraz bliżej, pazury zgrzytały i skrobały po kamieniach, a mężczyzna zrozumiał, że nie zdoła już uciec.

Wyprzedzający go Dai i Gryff usłyszeli długi, przeciągły wrzask starszego brata, gdy wilk olbrzymi doścignął go i powalił na ziemię.

Potem krzyk się urwał.

